PISMA
ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

MARJA
POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

TOM I.

Wydanie drugie.

WARSZAWA.

1857.

Cena kop. sr. 15.

Drukiem A. Ginsa.



Marja.

PISMA

Antoniego Malczeskiego.

MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

TOM I.

(z ryciną.)

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA FRUHLINGA Księgarza.

1857.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komiteci Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczb egzemplarzy.

Warszawa d. 16 (28) Lutego 1857 r.

Starszy Cenzor,

F. Sobieszczański.

w Drukarni J. Jaworskiego.

Nota.

Rycina dołączona do niniejszego wydania zdjętą była z portretu Gertrudy z Komorowskich Hr. Potockiéj i dołączoną do *Lwowianina* z 1838 (Tom III. str. 8) gdzie także znajduje się dość obszerny artykuł wyjaśniający rzeczywistą historyę poematu *Malczeskiego.*

Powodem tego wyjaśnienia był artykuł M. M. który pisząc o literaturze XIX. na str. 144 podniósł wprawdzie zasłonę tajemniczości, ale jéj zupełnie nieuchylił; naprowadzając jeszcze na błędne mniemanie jakoby rzecz ta stała się na Ukrainie za panowania Augusta III.

Takwięc *Lwowianin* pierwszy jak się zdaje, odkrył—że Marya była to nieszczęśliwa córka Jakóba i Antoniny Hrabiny z Werbna Pawłowskiéj Hrabiów Komorowskich, a żona Hrabiego Potockiego, z którą on kryjomo za indultem wziął

szlub w dniu 8 Grudnia 1770, a 6 Lutego 1771, przed aktami Grodzkiemi ogłosił swój szlub za nieważny; upoważniając tem samem dumę i zemstę do wykonania napadu na dom rodziców swéj żony, którego skutkiem było porwanie jéj i szkaradne morderstwo.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

MARJA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

PRZEZ

Antoniego Malczewskiego.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swéj lubéj, co czeka śród niwy,
Nucąc żałosną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojéj twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niéj radość;
Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą mażą skrzypiącą—
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz i o coś się pytasz,

Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi—
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

II.

Pędzą—a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca.—
I długo, i daleko słychać kopyt brzmienie;
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka—dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa—
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary:
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapkę, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje—

Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie—
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza—
A step—koń—kozak—ciemność—jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął—w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze—pośpiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan Wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał,—i bardzo łaskawie;
A jednak—żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
I łzy czułéj rozpaczy i pychy zapału
Płynęły—często—gorzko—ale bez podziału.
Już inaczéj w tym zamku—znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość;
Już śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, długo niewidziany,
Zeszedł pan Wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić—
Zdawał się więcéj synem niż chlubą unosić.

W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi—imię znakomite —
Co w sobie, to na zawsze dla wszystkich ukryte:
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłém wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie — uśmiech igrał na poważnéj twarzy;
A w oczach się mignęła szybka dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli u cisku
Spocznie kto już na chwilę—choćby na mrowisku.
Spocznie?—oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnéj nocy trąby i wiwaty grzmiały:
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem,
Do późnéj nocy twarze—ostre—malowane —
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących—i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość, w oczach myśl zgadnienia —
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I Pycha, i Pochlebstwo, śmieją się — nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku — bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; sen szczęścia osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze w bocznêm skrzydle obszernéj budowy,
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać — lub ciężkie westchnienia
W przerwanêm tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam niezawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłéj niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jéj czarnym tchnieniu chciał gdzieś znaleść rękę
Krwawéj zgubnéj przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wązkie okno — patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce; rozwinięte znaki,
Co się do nakazanéj zbierały wyprawy;
Słuchał budzącej trąby i wojennéj wrzawy.
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecić na boje.

Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W lśniącéj stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie: —
Nie dla niego—on niechciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy — poranek rozprasza.

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy —
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje — i szybkim obrotem
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiém echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię lżéj kopyto trąca;
I ciszéj, ciszéj brzęcząc — już—słabo —z daleka —
Głuchy dochodzi odgłos i coraz ucieka.
Dopiéro to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce—bujają wesoło,
I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi,
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;

A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięztwo,
A na ich serc opoce kwitły Wierność, Męztwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chcą cienić włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask—co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech—w którym może choć część zachwycenia,
Z jakim wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu—i nad jarów brzegi
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść—aż krążąc parowy,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy.
Jakiś na wgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola—znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni, lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc i wrona i cień jej przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaświerka,
I głucho—tylko jakaś w powietrzu rozterka.

To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie;
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie—chyba lot zwinąwszy zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzałe leżą,
I koście, co nie wiedzieć do kogo należą,
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele
Lub robactwo rozległe w świeżem jeszcze ciele:
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rozpacz—bez przytułku—bez celu—bez granic.

IX.

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyznie —
Ojczyznie! któréj imię śród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznéj biesiady
Czystym gorzało ogniem—a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał—ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał—i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącéj sromoty.
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętéj pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie
Lecz potem?—dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci—gniewu—a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jéj lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem, jak gdy księżyc w pełni.
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
Podobna do owoców umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje—popioły,
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu, w jéj mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko zniklej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
Aże nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie:—
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Swietniejsze okolice kraj sławny daleki,
Nad brzegam Jordanu pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną.

I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał—też samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

XII.

„Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
„Obłąkałam się dzisiaj — a na twojem czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jakpromyk co z obłoków na wyniosłe góry,
„Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
„Oh! czemuż już niespocznie twoja głowa siwa —
„Tu — na łonie? — nie bój się — teraz żal nie spływa,
„Jak wtedy coś w mych rękach usnął zmordowany,
„I wstał, schylonéj córki łzami zapłakany!
„Sroga nieszczęść igraszka: — i tak zżółkły parość
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
„I tak zaparte czucia długiém uciśnieniem,
„Rwąc tamę méj rozwagi, lały się strumieniem.
„Ach! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
„Widzieć Rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić!
„Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
„Ręką, co chce lekarstwo truciznę podawać!
„Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnéj chwili
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?

„Gorzka jéj była dola — ale to już przeszło;
„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło:
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniéj,
„I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu jak dawniéj
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
„Tak lube! tak ulotne i mojego tata,
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa,
„I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
„Póki się nie rozjaśni i śmiać się nie zacznie.
„I gdzież to się podziała téj dziewczynki władza?
„Pierwéj zganiała chmury a teraz sprowadza;
„I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
„Chciał w ogniu piórka złocić i więcéj niewraca.
„O! póki ten co w mojém na zawsze był sercu,
„Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcéj niż szczęście, było dla mnie niebo —
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
„Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
„Zostawił łzę wdzięczności, któréj czas nie zmiecie —
„O! póki ten mój miły, ten świat mojéj duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;

„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę—i to rozdzielenie —
„Zniosę—cierpliwie zniosę—póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
„Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!"
Rzekła—i jak w stojącej a popsutéj wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jéj wyszły czucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jéj bladość powlokły.
„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka,
„Wolałbym w ciemnéj turmie pewnéj czekać zguby,
„Niżli patrzyć spokojnie na te smutne śluby!
„Alboż to w naszéj Polsce braknie na młodzieńcach
„Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
„I tak jak dawniej było—rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć—po wianek, za wiano!
„Nie Marjo! nie trza wzdychać—twego nie obrażam:
„Mężny jest i cnotliwy—wiesz że go poważam:
„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi—
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem,
„Taż to u naszéj szlachty dawne przywileje,
„Skrzesać ognia w pałasze, gdy Przyjaźń ściemnieje—
„Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
„A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!

„I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
„Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
„I gdyby twoja Matka (daj jéj niebo Panie!)
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem
„Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:—
„Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
„Anibym jego złości dozwoilł grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa—
„A córę—szczep jedyny—z łez polewa rosa.
„Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy
„Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością—wdziękiem—choć raz się rozczulił?
„Nie—od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
„O! co tak to najlepiéj! i mnie to rozwiąże—
„Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę!
„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
„To w końcu téj tam waśni—dzwony się odezwą!"
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesil,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa:
Skąd to kozak przypędził, że taka kurzawa?
I z siada,—i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.

Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany—lecz swobodę z ojca powziął łona,
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda;
Sród wiodącej go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka za każdém ruszeniem
Miga gdyby chorągiew czerwoném płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarośle, gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
„Czy masz pismo?"—„Jest Panie — i jeszcze list wczora
„Oddałby nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,
„To żeby was z Jejmością Bóg od złegozbawiał."
„Że wasze mi z listami spóźnił się—to gorzéj:
„Czyj kozak co się djabłów albo ludzi trwoży?"
„Alboż wam nieświadoma krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna?—czyj?—Grafa Wacława."
Czyta Miecznik: gdy w Maryi ocknionem wejrzeniu
Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu;
Jéj łono podniesione w lekkiéj pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali.
Jéj lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory".
„O kozaku i koniu niech mają staranie!
„Ja wraz listy odpiszę — waszeć czekaj na nie!"

Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne czarne oczy spojrzał rozczulony,
Skłonił nisko Ichmościom,— i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc, wesoło im gwarzy.

XIV.

„Niechaj kto ludzi zgadnie!— jeśli to nie zdrada,
„To mojéj biednéj Maryi radość zapowiada.
„Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach,
„Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
„Swój afekt dla synowéj: ale w dom zaprasza.
„Więcéj jeszcze—takiego, jak mówi, zamęścia
„Syn nie wart,—bo zasługą trza się dobić szczęścia;
„Pragnie więc, żeby wprzódy w wojennéj potrzebie,
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
„I gdy właśnie Tatarzy grasują w téjstronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie:
„A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
„Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć." —„Dziś ja go zobaczę?
„O Boże! jaka radość jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?"
„Jednak to rzadko ludzi jak Pan Wojewoda:
„Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!
„Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi,
„Może się dużo zmartwi — może się obrazi!

„Trzaby się—trochę przywdziać—jakże znajdujecie?
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!”
„Czekaj! czekaj —przed siecią nie złapiesz szczupaka;
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka.
„Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wżdy siedzę?—bo się w zad oglądam,
„Zobaczym tych rycerzy—mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi.”
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie,
Słychać z dala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnéj szły mierze,
Staneli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
„Wacław!” krzyknęła Marja—i prędzéj niż strzała
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodnem spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całéj swojéj chwale!
I na tle przezroczystém pociechy rozlanéj,
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanéj:
Mężny—wyniosły—miły—po niszczącéj burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży,
Z jakąż lubą rozkoszą w każdéj żyły biciu,
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe, drżące łono
Skrytéj, cichéj, pieszczoty, utulił obroną!

Precz złocisty luzaku—weź tego rumaka—
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie Mieczniku spocznij—moja rada;
Kręci się łza w twem oku i na wąsy spada.
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja?—ah! i Marja czuła się szczęśliwą—
Szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu chwile,
Są jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!" Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami,
„W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
„A ledwo witać zdążysz—żegnać się przychodzi!
„Tą razą nie na długo—mężnie się postawim,
„Ja moich także zbiorę, to się niezabawim.
„Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza,
„Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza,
„Ależ po krótkim znoju, spokojnej swobody
„Użyć bezpieczniej można na wesołe gody.
„Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
„I w kielich się uderzy—i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić—nie szczędzić korzeni—
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
„Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany,
„O winie ja pomyślę;—i gdy w onym stawie
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,

„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
„Tatar rosę pić będzie—ja za zdrowie zięcia!
„Co teraz to was żegnam, po ciężkim frasunku!
„Milsza jeszcze pomyślność— na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię;
„Ale jak w trąby wrzasną, to zaraz na konie!”

XVII.

Poszedł.—Na świetném, zimnem rycerza ramieniu,
Sparta śliczna twarz blada w piór łagodnym cieniu.
Czarne warkocze dźwięczą bo w łusce pierś harda,
Giętką kibić nie ciśnie, choc ściska dłoń twarda.
Stalowa odzież—w świecie i Przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce—to Miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych liców, czułem, chciwém okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy,
Czy mu Czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jéj oczy krasi,
Nieznikomy, bo z duszy—chyba go Śmierć zgasi.
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł i posępną radość,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość,
I słodki w górę uśmiech, boleści wdzięk cały,
I na tle czystem, plamy co łzy wymaczały:
Szczęście się jego prędko owlokło jéj chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy niż u czapki pióro.
„Gdym w stepowéj i w dzikszéj umysłu pustyni
„Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;

„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
„A koń bił się do domu przez wicher i grady:
„Tyś dla mnie zeszła Marjo ! i w brzasku mych myśli
„Świetną—drogę twe światło ku niebiosom kreśli.
„O szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotném gronie
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
„O! błogi, że w twém sercu przez mokre źrenice,
„Życia, czucia Aniołów czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiem tchnieniem
„Ja oddychał, i ciebie okryła swym cieniem?
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
„Tobie mdłym pachnąc kwiatem w krótkiej swojej wiośnie?
„I mnie wydarli wszystko—i więcéj niż tobie;
„Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie,
„A czarném pędzon widmem, gdym jasność postradał,
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
„Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza już go nie trza chować:
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I nie jeden pokrewny oblewał posoką;
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie—
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
„Nie drżyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył—
„Jeszcze pierwéj: jak tylko, żeś moją, oświadczył,
„Tak mi tem jedném słowem serce usposobił,
„Jak gdyby mi nikt—nigdy—nic złego nie zrobił.
„To wziąwszy moją szablę, któréj blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojéj i kraju obronie,
„To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szybko mnie unosił—jechałem szczęśliwy.

„Oh! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem?
„Ty nie wiesz—ty co umiesz bez chluby łzy koić,
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
„W których spomnieniu umysł chciałby istność schować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
„Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
„I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
„Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?"
„Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
„Więcéj niż kochać wolno i niż mogą siły;
„Więcéj, niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość.
„I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
„I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą;
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jéj cienia,
„Czém dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
„Czem dla Marji świat przyszły—bez twego spomnienia?
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą
„Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!
„To może pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
„I tatarska ci strzała w serce się dostanie,
„Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
„Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli:

„Czemuż, gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno mój luby! choć usta z ustami,
„Patrzaj—chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ah! śród uniesień bitwy i zwycięztwa wrzawy,
„Przypomnij sobie, drogi, że promień twej sławy
„Tak czysty, tak świetny, jak słońce na niebie!
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie!
„Oh! niechaj pierwéj Marję w ciemnościach zagrzebie!
„Nie prawdaż, mój Wacławie, ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny?
„A gdy już moje oczy, wdrążone zgryzotą,
„Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą;
„Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali
„To może się na miłość Wacław nie pożali?
„Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
„Nie myśleć tylko o tém, w czém tobie dogodzić,
„Być twoich chwil osłodą, czasem ich ozdobą,
„Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
„I w téj ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku.
„A gdy niewolno z tobą, żyć w twojéj pamięci,—
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,
„I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
„W tkliwéj, smutnéj, jak lubisz, unosząc się nucie,
„To co nikt niewyraził, przywłaszczym uczucie.
„Ah! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!

XVIII

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona,
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niem czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić.
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swej kochanki hartować swą stałość!
Ani jej wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie;
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięztwo ucieka.
Powstał, złożył swą lubę, dzikim ogniem błysnął,
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jej szczupłe, gładkie, rozkoszne ugięcie
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł—wziął spokojność, przed wzrokiem, co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa:
Już w jego próżnem miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, Samotność usiada;
A na odłogu szczęścia Zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław, i w pierwszym osadził go skoku:

Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik, i w pędzie zawinął nim koło.
Za niemi brzmią puzany, za niemi, za niemi
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
Sunie się towarzystwo i w szeregach wiara,
Pancerni i husarze, za niemi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potém wojna:
A ty matko, co kłaniasz, bądź zdrowa spokojna,
Nie trwosz się szczękiem zbroi, długiemi dzidami:
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch, łoskotem
Drga dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada: jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie,
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kreśli;
I Pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry:
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury.
Zniżają sią kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho, jak modlitwa w łono Boga płynie,
I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.

BYRON.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie,
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnéj zgryzocie jeśli chcesz osłody
„Chmurne na polu niebo i cierpkie jagody.
„Idź raczéj w piękne mirtów i cyprysów kraje,
„Co dzień w weselnéj szacie u nich słońce wstaje:
„U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone i rozkoszne tchnienie;
„U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne
„A na kształtnych budowlach męże wieków dawnych
„Stoją w bieli, i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska
„Bogów i bohaterów — pająków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
„Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
„Słodycz w rozpaczy znajdziesz i lubość w żałobie,
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnéj chorobie.
„Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało;
„Na równinie mogiły — więcéj nie zostało;
„Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku, —
„To siedź w domu i słuchaj dumek o kozaku."

„Moje młode pacholę! gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z Ziemi Świętéj wracasz, że tak utyskujesz?"
„Oh! nie — ja wszystkim obcy śród mojéj ojczyzny,
„I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
„A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
„A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę.
„Bo w mojéj zwiędłéj twarzy zamieszkała bladość,
„Bo w méj zdziczałéj duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy."
„To czegóż chcesz pacholę?" „Uciec od rozpaczy."

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało,
Na smutek co się skarzy uważają mało,
A ten, co z niem rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczerzył w inną stronę wzrok cały otwarty,
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem zbliżały się maski.

1.

„Czy znasz Weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesoło, szalone, przednie.
„Maska twarz kryje — a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita
„Wrzawa, śmiech pusty.

„Żywo, radośnie,
„Skrycie, miłośnie,
„Staruszek Doża, Arlekin młody,
„Dziewczyna hoża, szuka osłody,
„Matrony... .., oszusty,
„Swobody.
„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiech pusty!
„Czy znasz weneckie zapusty?"

2.

„My sobie jedziem kulikiem.
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie,
„Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć,
„Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem.
„Szczera ochota
„Otwiera wrota:
„Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
„Żydzi, Cyganki uderzą w pary,
„Wróżki, Djabli, nie oszusty,
„W puhary.
„Lecim saniami,
„I jadą z nami
„Wrzawa śmiech pusty.
„Czy znasz ty polskie zapusty?"
„Ale tu wejść nie można; teraz nie zapusty?:
„Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty."

Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość,
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy, a nogami pląsać,
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła,
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować.
Śmiał się z Żydów, Cyganek, bał Wróżek z Djabłami,
I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce, zatrzymały nogi,
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem:

„Ah! na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną,
„Hucząc w niej chmury czarnemi;
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną,
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi:
„O! niech na chwilę złość się już schowa,
„Rany sztyletem nie cuci.....
„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
„Wróci spokojność — wróci!

„Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
„Albo gdy nieba cud nad chorobą,
„Gołąb — od przekleństw odleci;
„I władzę życia zabierze z sobą.
„A wyschłe lica nadmie żałobą,
„Wprzód nim gromnica zaświeci:
„Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
„Tryumfu pieśni nie nuci.....
„Chyba te słowa w końcu umieści:
„Wróci twój Anioł — wróci!
„Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
„A gdy kto chętny w drugich obronie
„I sam się w przepaść zagrzebie;
„Krótka stąd radość w zawiści łonie;
„Choć złe i dobre w grubéj zasłonie,
„Sąd ostateczny jest w niebie:
„Może w kłopocie i silna głowa
„Posępnie kiedy się rzuci.....
„Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość — wróci!
„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
„A gdy kto dążąc z dalekiej drogi.
„W mieszkanie Przyjaźni zajdzie,
„I już w uściskach topić ma trwogi;
„Lecz ciche, puste przebiegłszy progi
„Twarzy kochanej nie znajdzie:

„Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
„Spuszczone czoło zasmuci.....
„Niech choć gościnność kręcąc się powie:
„Wróci gospodarz — wróci!
„Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie duchy,
„To wasze pstre maszkarki wesołej otuchy.
„Alboż to nam pierwszyna? wszak nieraz kuligi
„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
„Prosim, Jegomość wróci, a choć nie jest w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły, nisko kłaniają, w parach się prowadzą,
Obzierają się w koło i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie,
I w krótkim pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie;
Jeszcze w chwili ostatniéj nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni co w podróż ucieka.

I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury,
Gdy noc, zazdrośnym palcem ścierając dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu — dla zbrodni i zdrady.
Lecz gdzież bawi pan Miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąść się do gąsiora,
I miał żywej radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić, bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili, co zwycięztwa odkryła się meta,
Od chwili, co w niej dosiadł żartkiego dzianeta,
Od chwili, w której trąby w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły,
I widział raźną młodzież, i słyszał szczęk broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni,
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to, co stary orzeł gdy pisklę z nim leci;
Od chwili, co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem:
Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walk dusza przeraźliwie wstrząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś, mieczem z pochew świsnął,
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,

W bitne hufce patrząc, że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie:
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
„Wiem, żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się śmiał straszyć tatarskiego tańca,
„A ktoby życie szczędził srogiego pogańca,
„Niech mi precz na szkapie do domu wyskoczy,
„Bobym mu potem kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało, strzałki wystrzelają,
„Bóg wiara, ufność szabla, i łby pospadają
„Jak kłosy, co to niby migocą się świetnie,
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie:
„To cicho, bacznie, mądrze, aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać, że to Polak rąbie,
„Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!"

Potem jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze:
Mówił szpiegów wywiadki; tłómaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięztwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru.
Słuchał zajęty Wacław, gdy ręka i głowa
I każdy rys Miecznika, popierały słowa,
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza.
Żywość w starcu, w młodzieńcu rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitéj schodząc drogi,
Coraz się — coraz głębiéj wpędzali w odłogi,
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca:
Samotne, ciche, błogie, dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje, gdy w całym przestworze
Rozfarbionéj żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca
Szybował, swojém wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła.
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie,
Ni lubość tchu słodkiego w groźnem biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy.
Co wśród gęstych zarośli niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony dla mylnéj poznaki;
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się jak strzelec, gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce złączone hufce w umyślnym fortelu
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu;
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie,
Z swojemi w bok się rzucił na niezmiernym łanie,

A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie.

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, śród stepów przestrzeni
Sam buja w swojej woli; czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały; czegoż tak ponury?
Spiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy; czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie, tylko że mu sława,
Łzami Maryi spłakana, przed oczami stawa.
Tylko że jego serce w takiem nagle drzeniu.
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił, w trosce i zdziwieniu,
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy,
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wyskoku przychylił się woli.
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięztwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.

To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła zbijały go z drogi;
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność,
Już teraz miłośnicą — rycerska powinność!
Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy strony natężone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie? — co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy niebędzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok, w swoim bystrym pędzie
Dno porze i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwię ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija;
Tak Wacław nie cofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiej, tém gwałtowniej na sztych się wydziera,
Grożnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera;
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brzmi w całém jego ciele: „zdobędziesz ty trumnę!"

VII.

Jest trosków, kolców, bólów nie mało w tém życiu,
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa,

Lecz gdy umysł szlachetnéj uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwéj ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem;
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła:
Gdy sroższéj od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jéj w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży;
Gdy złość w swojém szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,
I nietylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie,
Komu? anielskiéj duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta;
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia: —
Większe to, niżli ziemskie: piekielne cierpienia!
Czy te lub inne jeszcze dotkliwsze katusze
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę:
Ci, co za nim rzędami w śklniącéj gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali:
Każdy myślał, — i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo, że każdy o sobie:
A jednak każdy gotów z wzniesionêm żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu, w porządku, konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy,
Kędy ich długim sznurem wedle swojéj chęci
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci,

Przez niezmierzone niwy, tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc— naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wy dali się oku.

VIII

Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione rozchodzą się chmury,
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianéj dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem.
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą z westchnieniem.
„Baczność! do broni wiara! chorągiew rozwinąć!
„Tatarzy wieś rabują, zwyciężyć lub zginąć!"
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli,
Tak pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny w krwi i łzach utonął.
Lecz nie-czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedyńczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już przez swoje czaty ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony;
Tam—za wsią—stoją, całe zakrywają pole, —
Bór w lewo, strumień wprawo, a oni w półkole,
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.

Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć?
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną!" rzekł i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i skaka
(Mniej ów niżli Graf Wacław odważny i dziki)
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie: wsród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz szybko sfornie lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem;
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i zemsta i chwała.

IX.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których snię srogość zwierząt, z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli, lecz nim przyszło z bliska,
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,

Gdy w pół-obręcz w padli wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;
„Alla hu!" wrzasły hordy, i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty.
„Hura!" krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obskoczony
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony;
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają.
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań w padają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.

X.

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka przyjaciela

Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
Żeby życia co ciąży nie oddać z sromotą;
Śmierć miotał śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi
Pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmoniją jego myśli, lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza
Widzą, poznają wodza, i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści,
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu, że już uchodzą, życia się obawia,
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia.
Zaraz!—zaraz!—otyły, brunatno czerwony,
Han tatarski tam w pada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męztwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: o zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące z marszczoną powieką,
Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! rozsieką!

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?

Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie,
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko skoczy,
Zajadłem męztwem, gdy je w pośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoję dziecię, w radości topnieje:
Z takiem zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiéj mary,
Obok swojego zięcia, Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim: jego przywitanie,
Tobie należy naprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem.
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; brzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają.

Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapalona sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka. Wielu oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada;
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola;
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męztwa,
Pójdz słyszeć radość wojny i krzyki zwycięztwa!
Zobacz, jak w pośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź, nie drzyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie,
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!
A jeżli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków, tylko strachu drżenie,
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz—to zlękniesz się siebie.
Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznem sercem—i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim schylone brzozy, w swej białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy.
Tam—pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność, że rozkosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława—kończą się znużeniem.
Z przodu—gasnący pożar jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem na plac bojowiska.
Z tyłu — słońce, już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem;
Szarzały wszystkie farby, kruki gromadami,
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami;
Czaty porozstawiane, przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi, w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi;—a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały,
Chłodząc odkrytą głowę pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział:
„Synu!—bo kiedyś z sercem połączon tak blisko,
„I masz w niem miejsce syna, miejże i nazwisko—
„Dziś jakby wszystko wite na szcześliwej nici;
„Nasz Wacław powrócony, Tatarzy pobici,
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.

„Lecz kiedy dusza, zda się, dzierży czego żąda,
„Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda!
„Patrzno, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi,
„Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi.
„Siadaj na koń, spiesz wesół, kędy szczera żona,
„I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona;
„Ja tu objażdżki dojrzę, a jutro ze świtem
„Brzęknę wam na dobry dzień, witanem kopytem.
„Siadaj, twój dzielny rumak prędko cię dostawi:
„Bądź zdrów! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!"

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jezdzcem przesadza drzew cienie,
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.—
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z tęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać niescignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Spiew słowika, szmer wody, i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej i żywej i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;

Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiém tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego Twórcy z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura, wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli;
Wtedy w schowanéj szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu—dobroć, w ustach—przebaczenie.
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać niebył w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile;
I tak to mijał stepy: lecz świetne marzenie,
Co niém ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie!—jak widmo wstaje przypomnienie,
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.
„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
„Więdnie pieszczotny powój; a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc. I cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czczéj sławy, któréj blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanéj twarzy.
„Gdybyś przynajmniéj w los swój wierzyć miał powody:
„Lecz, ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny, jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy,—wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć."
Ah! daléj, prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,

Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza:
„Ha! ha!” nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem;
Sliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione,
I zarżał, nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę,
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo,
Ni giermek do strzemienia szybką skoczy nogą.
„Musi być bardzo późno: niech śpią— trosk nieczując.”
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w której serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem—u drzwi domu stawa.
Ah! ileż wdzięków, pieszczot jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od Aniołów! zastukał —raz — drugi — i trzeci;
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy: to jedyny znak ruchu lub życia,
Który tam drzemiąc czekał rycerza przybycia:
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej mowie,
Ni światła w ciemnej, cichej, zamkniętej budowie,
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi:

Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić:
Wnosić JEJ niespokojność, żeby swoję skrócić?
Raczej niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga,
Jeszcze stukał, lecz słabiéj, bo już w serca niebie
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem, nieraz w pośród ciszy
Zatrzymując się nagle, czy kogo nie słyszy;
Spojrzał na księżyc w pełni, co jego postawę
W czarnych, olbrzymich kształtach obalał na trawę.
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ach! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w téj pyzatéj twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu spiącego w milczeniu,
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści
Jak te zaklęte zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnéj nadziei utracie
Postrzega ruch nareszcie w sypialnéj komnacie:
Widzi otwarte okno, i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga.
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły.
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem.

4*

Nie był jednym, ni drugim; umiał walczyć w boju,
Kochać, być wiernym, wdzięcznym; już Wacław w pokoju.

XVI.

Na nierozesłanem łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży.
Ale jej snu twardego wygoda nie pieści.
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jéj sinéj twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało,
I długie jéj warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim w jaki miłość śpiące wdzięki kładzie.
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarżyć chciała tylko że jej usta
Ścięte silniejszą władzą; a promień księżyca,
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja! Rycerz przed nią stoi,
Przyniósł jej ziemskie szczęście, i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? oh jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jéj łona?
Ale niedługo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jéj lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca rozkosznie w nie sączy.
O! moja droga Marjo! ty zimna i niema,
„A dla nas już jest szczęście"—echo mówi: „niema,"

„Marjo! kochana Marjo! w boju mnie widzieli,
„Ojciec mnie z tobą spoi" — echo mówi: „dzieli."
Znowu ją pieści, cuci z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramie,
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
Lecz w całem opuszczeniu świeżego zwaliska;
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
„Oh! wody! wody!" wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje,
Rozsuwają się liście i czapka wystaje,
I głowa się podnosi, i stanęło ciało,
Co tam w cichem czekaniu ukryte sie działo,
Młodego pacholęcia, co na świat płakało.—
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą,
Nie wiem: wyszło z gęstwiny i tak przemówiło:

„Niech rycerz drżącém sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niéj zgasnął dopiero blask ziemskiej urody:
„Te to obrzydłe maski w swéj zdradnej zabawie,
„Śliczne łono téj pani zatopiły w stawie;
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.
„Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
„Pobiegli w pogoń, drudzy po księży i baby;
„I dom teraz w cichości; lecz nim zorza znijdzie,
„Mrucząc, kadząc, śpiewając służba śmierci przyjdzie;
„A kto im się raz dostanie,
„Zawsze już u nich zostanie.
„Zawsze'— oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem
„Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem!
„W miłości i przyjaźni, w każdéj życia dobie,
„Tak często powtarzane, a prawdziwe —w grobie;
„Bo kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci."
I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść; a w twarzy rycerza
Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;
I znów nagle rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
Krwi, krzyku, dzwonów — płomień popsutego łona,

Co domowéj niezgody rozpala pochodnię,
I w własném swojém gnieździe zbrodnią każe zbrodnie!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki;
O! jak bezecnéj zemście, co nim słusznie miota,
Towarzyszy okropnie rozpacz i zgryzota!
A wszystkie razem bole w osłupiałem oku
Łączy myśl przeraźliwa — niezmienność wyroku!
Mniéj straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni— postać Laokona.

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I nigdy już swéj lubéj ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Któréj blask czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni.
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni.
Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiéj złości i widok jéj skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił,
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!"
I gdy w jéj zbrzękłéj twarzy widzieć mu się zdało.
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niéj zmartwiało —

Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie zagubił z nią razem;
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie,
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo: już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciźnie przez jednę minutę;
Już duszy wprzód wyniosłéj zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło:
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj — na co dobroć się tu przyda?
Gdzie, co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci,
Gdzie chlubna miłość bliźnich w udanéj tkliwości
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości,
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda,
Gdzie tylko jedna słodycz, — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie
Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku, aż w późnéj jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby, stoją obnażeni.
Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda, i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje:

Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — Czarne wewnątrz spalenizny znaki;
A gdy w rażonem drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.
Co Wacław sobie w życiu może obiecywać?
Trudnoby wytłomaczyć, i straszno zgadywć.
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał, i chyba to zyska,
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwaliska,
To w krótkiem zamyśleniu korząc się przed Bogiem,
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jejmości,
I czułém wyręczeniem bezwładnéj skromności,
Jéj członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy — z tęsknem wejrzeniem na jéj martwe lica,
W którém żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia, z uwagą rozpaczy,
Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza, co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole,
Skoczył na koń — a za nim usiadło pachole.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?

Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem, objął rycerza, i w cwał polecieli.

XX.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze;
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą:
Ludzie dobrzy, czy chrzciny, czy to pogrzeb, spieszą.
Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać wśród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swéj nieméj pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny, jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa:
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jéj woził łamę, żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie
I takim był i potém: ni żalu, ni skargi
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;

Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz—i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski; straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodzi daleki,
Nie porwał się do korda: już spał—spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno—w bujnej Ukrainie.

NAJŚWIĘTSZA MARYA PANNA.